

FUNDACJA GENERAL ELZBIETY ZAWACKIEJ
Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek
87-100 Toruń, ul. Północna 93, tel. 0048 56 65 22 186
e-mail: fapzk@wp.pl; www.zawacka.pl

MEMORIAŁ
General Marii Wittek



SZCZEPANOWSKA Hanna
ps. „Heban”, „Elżbieta”

Szare Szewgi
AK
okr. W-wa
oboz
Bergen-Belsen

5042 lusk

SPIS ZAWARTOŚCI
TECZKI

SZCZEPANOWSKA

.....
Hanna

.....
ps. „Heban”, „Elżbieta”

I./1. Relacja ✓ k. 17, s. 1-17

I./2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące relatora ✓ k. 2, s. 1-2

I./3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące relatora —

II. Materiały uzupełniające relację ✓ k. 1, s. 1

III./1. Materiały dotyczące rodziny relatora

III./2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r.

III./3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945)

III./4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945

III./5. Inne ...

IV. Korespondencja

.....
.....
.....
V. Nazwiskowe karty informacyjne

VI. Fotografie ✓ kopie 3 szt. oraz pator p. 1/1 s. 1

I₁ Relacje

- Relacja w formie rozmowy przeprowadzonej przez M. Piaseckiego, W-wa 2005r., wydruk, k.17, s.1-17





PSEUDONIM

„Heban”

STOPIEŃ

strzelec, łączniczka

FORMACJA

Zgrupowanie „Żmija”

DZIELNICA

Żoliborz, Śródmieście

Zobacz biogram

Hanna Szczepanowska, urodzona 19 stycznia 1929 roku. Urodziłam się w Ostrów Komorowie, czyli w podchorążówce, gdzie mój ojciec w tym czasie wykładał. Ani miasto, ani wieś, po prostu Ostrów Komorowo, podchorążówka. Pseudonim „Heban”.

Jaki pani miała stopień i przynależność do oddziału?

[...] Konspirację zaczęłam w 1941 roku jako harcerka. Przez dwa lata od 1941 do 1943. Zakończyłam swoją działalność harcerską jako przyboczna. Ponieważ miałam wielkie potrzeby walki z Niemcami, w końcu znalazłam drogę do oddziałów liniowych poprzez mojego brata i w 1943 roku zostałam zaprzysiężona jako żołnierz, oczywiście łączniczka w 244. plutonie Zgrupowania „Żmija”.

Co pani robiła przed 1 września 1939 roku?

Chodziłam do szkoły i zaczęłam być zuchem.

Jaki wpływ wywarła na pani wychowanie rodzina i szkoła?

Ogromny. Myślę, że to jest najważniejsze, co człowiek wnosi w dorosłe życie w ogóle. Mój ojciec był żołnierzem 1. Kompanii Kadrowej i to był dla mnie testament, droga walki o Polskę poprzez Piłsudskiego, poprzez te idee. Taki był dom moich rodziców, tego mnie nauczono od urodzenia. Wobec tego i rodzice, i brat, i ja byliśmy w konspiracji. Ja od 1941 roku, a pozostała część rodziny od początku, kiedy nastąpiła okupacja niemiecka.

Jak pani zapamiętała sam wybuch wojny, 1 września 1939 roku?

3/1/2

Miałam wtedy dziesięć lat. Kazali nam wykopać w ogródku dół przeciwlotniczy i przez kilka pierwszych dni myśmy się chowali do tego dołu. Ponieważ mój ojciec pracował w Komisariacie Rządu i rząd miał już jakieś poczucie troski o rodziny, wobec tego wywieziono nas ciężarówką 7 września (w ramach ucieczki przed Niemcami) na wschód i znaleźliśmy się pod Nowogródkiem w Nowojelni, to znaczy mama, brat i ja. Wtedy, kiedy w listopadzie bolszewicy zaczęli wywozić ludzi na Syberię, ktoś z tubylców (zresztą przedwojenny komunista, jak się okazało) przybiegł do nas wieczorem z tragiczną wiadomością, że dzisiaj w nocy przyjeżdżają po nas, żeby nas wywieźć. Wtedy moja matka zapakowała nas na wóz Białorusina, który nas chciał uratować i on wywiózł nas nocą z powrotem w kierunku Warszawy. W ten sposób, przechodząc przez zieloną granicę, 11 listopada 1939 roku znaleźliśmy się z powrotem w Warszawie.

Czym zajmowała się pani w czasach okupacji przed Powstaniem, w latach od 1939 do 1944 roku? Gdzie pani mieszkała? Jak wyglądało pani życie codzienne?

Mieszkałam na Kolonii Staszica koło filtrów. W tym czasie skończyłam szkołę powszechną i zaczęłam gimnazjum u Posselt-Szachtmajerowej. Była to szkoła dla córek legionistów i ona nas wychowywała bardzo patriotycznie. Była to kontynuacja tej linii, którą prowadzili rodzice. Stąd trafiłam do szkolnej 16. drużyny harcerskiej „Zielona Leśna”, stąd mój pseudonim też musiał być jakiś leśny, a ponieważ miałam bardzo czarne włosy, w związku z tym koleżanki szybko okrzyknęły, że przecież „Heban”. Tak to się stało.

Jak pani trafiła do konspiracji? Jak się pani z nią zetknęła?

Najpierw szukałam sama, po jakichś znajomych, sąsiadach, koleżankach. Pierwsze kroki postawiłam w nieznanym mi już później drużynie, która organizowała y ulicy Lekarskiej 9 u państwa Ponikiewskich, a potem przy ulicy Raszyńskiej pod numerem 58. Ale to trwało bardzo krótko, bo szybko dyrektorka naszej szkoły Szachtmajerowej zorientowała się, że nadaję się do harcerstwa i zaproponowała mi drużynę szkolną. Pod koniec 1941 roku przeszłam już regularnie do szkolnej drużyny harcerskiej. Tam byłam do 1943 roku.

Jak wyglądała konspiracja w drużynie harcerskiej?

Były zastępy. Bardzo szybko zostałam zastępową zastępu „Łosi” – chyba tak to się nazywało. Myśmy zdobywały sprawności. Prowadziłyśmy prace nad sobą. Miałyśmy mały sabotaż, tak się zaczynało. Pod opieką mojego zastępu na przykład był Pomnik Sopera. Śladu niestety po nim nie ma. Na rogu Nowowiejskiej (wtedy 6. Sierpnia) i Alei Niepodległości stał Pomnik

2/1/3

Sapera, legionowy saper z wypisanymi nazwiskami wszystkich poległych saperów z pierwszej wojny światowej. Z dwóch stron były wielkie trawniki, a naszym obowiązkiem było 3 maja i 11 listopada ozdobić ten pomnik. Przygotowywałyśmy mnóstwo chorągiewek, które wbijałyśmy w ten trawnik. Duży napis „Jeszcze Polska nie zginęła”, albo „Polska żyje” zawieszaliśmy na tablicy, na szyi sapera. Kiedyś się nam przytrafiło, że gdy z daleka było słychać jadący wóz żandarmerii niemieckiej, wszystko żeśmy zostawiły i uciekły. Blisko tam jest taka mała uliczka Sędziowska, w której żeśmy się schowały. Niemcy wyskoczyli, pokopali nam kwiatki, chorągiewki. Wykrzykiwali: *Donnerwetter*, nazłościli się, wsiedli w samochód i pojechali. Gdy odjechali, myśmy przybiegły i z powrotem ustawiały. W każdym razie to była pewnego rodzaju dziecinada, ale dla naszej ludności, która przechodziła ulicą, która widziała, że „Polska żyje”, to było dosyć ważne. Już nie mówiąc o tym, że malowałyśmy „Polska Walcząca”. Później się włączyłam do kolportażu prasy podziemnej, którego punkt centralny miała moja mama. Poza tym wymyślałyśmy napisy przeciwko Niemcom, podrzucałyśmy im pod drzwi. To była straszliwa dziecinada. Pamiętam mój śmieszny sposób walki z Niemcami. Kupiłam tubki kleju, który nazywał się „Syndetikon”, i na terenie niemieckiej dzielnicy wchodziłyśmy na klatkę schodową i Niemcom smarowałam po klamkach tym klejem. Oczywiście, jak się ma dziesięć, dwanaście lat, to ma się takie pomysły. Później zaczęły być już trochę doroślejsze. Zasadnicza sprawa – walka o postępowanie zgodne z prawem harcerskim. To była rzecz niesamowicie ważna. Byłam jedną z trzech dziewcząt wytypowanych przez drużynową do przyrzeczenia harcerskiego. Przez pół roku wszystkie zastępy mogły mnie krytykować ile chciały, to znaczy wymyślały wszystkie wady, które powinnam zredukować. Wszystkie trzy miałyśmy taką samą chłostę. Nazywało się to „ogniska szczerości”. Po pół roku drużyna zdecydowała, czy mamy prawo składać przyrzeczenie. W końcu nas zaakceptowano. To było dla mnie zresztą olbrzymie przeżycie, ponieważ wtedy nocowałam u mojej drużynowej. Ojciec wiedział, że jestem u koleżanki, ale nie wiedział, po co. Bardzo był z tego niezadowolony, ponieważ miał potrzebę całkowitej opieki i odpowiedzialności za nas. Nazajutrz po tych uroczystościach konspiracyjnych wróciłam do domu. Miałam białą bluzkę, na białej bluzce przyczepiony był krzyż, na to wszystko kurtka, która zasłaniała bluzkę. Ojciec wyszedł do przedpokoju z bardzo niezadowoloną miną, zdjął ze mnie kurtkę, powiesił na wieszaku i popatrzył na mnie. Nastąpiła wielka cisza. Po czym wziął mnie na ręce, przeniósł do gabinetu, postawił na krześle,

21/4

usiadł naprzeciwko i się rozplakał. Tak się skończyło moje przyrzeczenie. To była walka o to, żeby być jak najlepszym dla przyszłej Polski.

Wspomniała pani o tym, że w 1943 roku przeszła już pani do formacji liniowych, jak to przebiegało?

Najpierw zgłosiłam się do mojej hufcowej. Powiedziałam, że już nazdobywałam dużo sprawności, krzyż harcerski mam, a teraz chcę walczyć z Niemcami, prosiłam żeby mi coś zaproponowała. Ona nie miała mi nic do zaproponowania, jak się okazało, bo przyszłam za dwa tygodnie i nie dostałam żadnej propozycji. Byłam rozczarowana. Powiedziałam, że w takim razie przerywam pracę w harcerstwie, muszę sobie znaleźć miejsce, gdzie będę mogła walczyć z Niemcami. Najpierw się potknęłam o jakąś młodzieżową grupę wywiadowczą, która też zresztą skończyła fatalnie, bo po za mną jedną wszyscy wpadli. Uratowałam się tylko dlatego, że mój ojciec się zorientował, że gdzieś błędę. Wy tłumaczył mi, że to nie jest najlepszy sposób, skoro nauczyłam się prawego życia, a teraz posługuję się kłamstwami i kręactwami, to w takiej kondycji do Polski wolnej nie ma co wchodzić. Trzeba w dalszym ciągu czuwać nad prawością swojego postępowania, więc to, co robię nie jest najlepszym pomysłem. Tym mnie sprowokował do wycofania się z tego. A moi koledzy wszyscy zginęli. Potem znalazłam się w jakiejś grupie, która przygotowywała ludzi do wysłania do partyzantki w Puszczy Kampinoskiej. Zwierzyłam się mojemu bratu, że wyjeżdżam, że już jestem zaprzysiężona. On powiedział: „Jak to? To mnie zostawiasz pod mamina spódnicą? Zobaczysz! Jak ja zginę na ulicach Warszawy, będziesz mnie miała na sumieniu do końca życia”. Więc się rozplakałam. Nie wiedziałam, co zrobić. A on mi mówi: „A ja ci mogę coś zaproponować”. Pytam się: „Co?”. „Może wstąpisz tam, gdzie ja jestem?”. Pytam się: „A broń jest?”. „Jest!”. „To może być!”. I w ten sposób mając lat czternaście, zostałam przedstawiona „Żmii”, czyli majorowi Rzeszotarskiemu, jako osiemnastolatka. Z tym, że brat, gdy mnie tam wiozł, powiedział tylko: „Pamiętaj, jak się będziesz miała głupio odzywać, to się nic nie odzywaj. Masz udawać, że masz lat osiemnaście”. W ten sposób wstąpiłam do 244. plutonu majora „Żmii”, wówczas jeszcze rotmistrza.

Gdzie panią zastał wybuch Powstania?

Byłam już zgłoszona do punktu przygotowawczego. Dwa dni wcześniej, na Tucholskiej pod numerem 27, o ile pamiętam, nocowałam u jakiegoś rusznikarza na schodach i czekałam na rozkazy – ja i moja przyjaciółka Iza, która też była ze mną łączniczką w 244. plutonie. Z 31

1/6/5

na 1 sierpnia przyszedł do nas Rzeszotarski - „Żmija” i powiedział: „Dzisiaj o piątej po południu zaczynamy. Jak się skończy godzina policyjna, macie się rozbiec po Warszawie, wszystkich chłopaków zawiadomić i przyjechać tu z powrotem”. Obieglyśmy wszystkich. Wracając wstąpiłam do domu, wzięłam apteczkę, rodzicom się odmeldowałam i jeszcze zdążyłam na swój punkt na Tucholskiej.

Jak wyglądała godzina siedemnasta?

Miałam dosyć kłopotliwą sytuację, dlatego, że Żoliborz był w ogóle zachwiany przez pierwsze falstarty, trudno było powstańczą akcję uregulować. Wtedy z moją patrolową, którą zresztą była żoną dowódcy kompanii, poszłyśmy na ulicę Marii Kazimiery, ażeby od tyłu podejść do obiektu, który przez nasz pluton miał być zdobywany. Były to koszary na Gdańskiej. Podejście do nich próbowaliśmy od tyłu. Zatrzymałyśmy się w jakimś prywatnym, drewnianym domu, ponieważ Niemcy od ogrodu tego domu, zaczęli atakować. Okazuje się, że Niemcy podeszli do domu, w którym chcieliśmy przeczekać i włamali się do wnętrza. Musiałam apteczkę wrzucić pod łóżko, żeby nie mieć materiałów kompromitujących. Żadnej opaski nie miałam. Zabrali nas obie do tych koszar. Moja patrolowa była osobą dorosłą, zostawiła z sąsiadami małe dziecko na Starym Mieście. Zaczęła lamentować, udając że jestem jej siostrą, że ona ma dziecko! W ten sposób, po kilku godzinach w nocy z pierwszego na drugiego, Niemcy nas wypuścili. Dostałyśmy się na Krechowiecką, do podwórza nauczycielskiej spółdzielni mieszkaniowej. Na podwórzu była już masakra naszych chłopców spowodowana ciężkim atakiem niemieckim. Tutaj rozpoczęłyśmy działalność sanitarną, ponieważ tam była nieprawdopodobna ilość trupów i rannych. To już było chyba 2 sierpnia rano. 2 czy 3 przyszedł „Żmija” i powiedział, że nie wiadomo, jak się potoczy Powstanie, więc możemy robić, co chcemy. Wtedy ja i moja przyjaciółka przechodziłyśmy przez most na Dworcu Gdańskim. Niemcy: *Hände hoch!*. Powiedziałam, że nie będę przed Niemcami rąk podnosić, a moja przyjaciółka mówi: „Nie wygłupiaj się!”. Przeszłyśmy jakoś i przez Stare Miasto doszłyśmy do Śródmieścia. Tam odnalazłam się w „Pasiece”, czyli w mojej macierzystej harcerskiej komórce zwierzchniej. „Pasieka” była główną komendą „Szarych Szeregów”. Z powrotem zostałam harcerką włączoną do harcerskiej poczty polowej. Myślę, że jestem jedynym powstańcem, który w sumie trzy razy był w rękach niemieckich. O dwóch już opowiedziałam, a o trzecim opowiem

3/16

za chwilę. Bo ten trzeci był rzeczywiście najgroźniejszy.

Była pani listonoszem, jak wyglądała służba listonosza?

To był raczej dość krótki epizod. Chyba z dziesięć dni najwyżej listy nosiłam, gdzieś aż pod Towarową. Tam byłam zasypana, bo to już był teren bardzo mocno przez Niemców atakowany. Naszym harcercskim listonoszom niebezpieczeństwo groziło właściwie na wszystkich trasach. Miałam też przez pewien czas punkt obserwacyjny na „Prudentialu”. Łączność w poprzek Alej Jerozolimskich zapamiętałam najbardziej. To był ten trzeci raz, kiedy mnie Niemcy złapali. Ostatecznie zakończyłam swoją działalność jako telefonistka, już po drugiej stronie Alej, na Wilczej pod numerem 32, a później pod 41, obsługując centralę telefoniczną.

Z jak dużym ryzykiem i jakimi trudnościami wiązała się pani służba? Jak wyglądało przechodzenie przez Aleje Jerozolimskie?

To było rzeczywiście najcięższe. To chyba był jedyny przypadek, kiedy mi dzwoniły zęby. Tak naprawdę, w Powstaniu lęku nie było. Może był to szok? Może to była jakaś nieprawdopodobna radość? Lęku tak naprawdę nie było. Wracając do radości, chciałam powiedzieć, że nigdy nie zgodzę się ze stwierdzeniem, że Powstanie to był dramat. Dramatem to była kapitulacja. Natomiast całe te sześćdziesiąt trzy dni była euforia. Jeśli ktoś obejrzy zdjęcia żołnierzy z Powstania, to wszyscy są roześmiani. I to była prawda. Ja nigdy nie zapomnę miejsca, gdzie zobaczyłam biało-czerwoną flagę po raz pierwszy po pięciu latach. Do tej pory, gdy tamtędy przechodzę, mam ściśnięte gardło. To trzeba docenić. To było sześćdziesiąt trzy dni życia w wolnej Warszawie naładowanej radością. Natomiast strach pojawiał się oczywiście. W poprzek Alej łączność była nasza, wzdłuż była niemiecka. I w tym krytycznym okresie, szłam z meldunkiem w poprzek Alej...

Czy już wtedy istniał przekop?

Nie. Kiedy pierwszy raz biegłam przez Aleje, nie było kompletnie nic. Zerwano mnie o czwartej nad ranem, bo miałam dyżur pod drzwiami dowódcy, ale przysnęłam. Obudził mnie i mówi, że na mnie kolej, biec przez Aleje. I wtedy mi zęby dzwoniły, bo zupełnie nie wiedziałam, co mnie czeka. Nie powiedziano mi na przykład tego, że jak wyskakuję z Alej po stronie parzystej, to nie biegnę prostopadle, tylko pod pewnym kątem. A z drugiej strony nie wbiegało się wprost do bramy, tylko były z dwóch stron bramy – ściany z worków z piaskiem i trzeba było trafić w tunel. A ja nie trafiłam. Znalazłam się na zewnątrz. Oczywiście Niemcy

2/1/7

mnie już tam wyłapali, w związku z tym oddają strzały jeden za drugim. Świt już jest, ale te strzały widać. I teraz mam do wyboru: albo przejść przez wierzch tego wszystkiego albo obejść w koło i trafić w tunel. Wybrałam tą drugą drogę, ale czołgając się. Dzięki temu się uratowałam. Wtedy jeszcze nie było przekopu. Dwa razy szłam bez przekopu. Dopiero później był przekop. Ktoś kontrolował warunki, żeby łącznika wypuścić. Czekałam więc, kiedy mnie wypuszczą przez Aleje. W pewnym momencie, okazuje się, że Niemcy, którzy nacierali czołgami wzdłuż Alej, zatrzymali się, zaczęli strzelać do ludzi i do domów na rogu Brackiej i Alej Jerozolimskich. Chciałam przeczekać atak, ale Niemcy mnie zatrzymali. Znowu wszystko powyrzucałam. Zostałam jak cywilna dziewczyneczka z warkoczykami i jako ludność cywilna znalazłam się w piwnicy domów w Alejach Jerozolimskich. Tam mnie trzymali półtorej doby razem z ludnością cywilną. Po półtorej doby, kiedy dom się już dopalał na tyle, że mury piwnicy były ciepłe, wypuścili nas, ustawili kolumnę i prowadzili wzdłuż Alej. To było to słynne prowadzenie ludności cywilnej przed czołgami. Co dwadzieścia metrów szedł konwojent z jednej i z drugiej strony. Szliśmy w kierunku Muzeum Narodowego. Kiedy osiągnęliśmy wysokość Brackiej, poczekałam aż minął mnie konwojent i zanim nadszedł drugi, uciekłam w lewo, w kierunku barykady. On oddał dwa strzały, ale doszedł do wniosku, że tu ma więcej do pilnowania, więc to było pewnie *pro forma*. Dostałam się do barykady. Chłopaki krzyczą: „Podaj hasło!”. A hasło zmieniało się co dobę. Znałam hasło z poprzedniej doby i nie mogłam się z nimi dogadać. Mówię: „Puście, ja uciekłam od Niemców!”. Ponieważ wszystko w koło się paliło, jeszcze miałam szok, wydawało mi się, że mi się paliła spódnica. Wreszcie przedostałam się przez barykadę i ciągle kręciłam się wkoło siebie, oglądając się, gdzie ja mam ogień na spódnicy! To był ten moment, najbardziej zostawiający trwałe przeżycia powstańcze. Następnym razem już było dużo łatwiej przechodzić przez Aleje, bo był przekop, więc ryzyko było minimalne.

Jak pani zapamiętała żołnierzy strony nieprzyjacielskiej, czyli Niemców, których pani spotkała? Była pani trzy razy w niewoli, więc ich pani zapamiętała...

Nie w niewoli, tylko w ich rękach. Za pierwszym razem na Marii Kazimiery mieli nade mną całkowitą przewagę. Na moście Gdańskim próbowałam się czuć ważniejsza od nich, ale oni też nie doceniali sytuacji. To ich niezorientowanie pozwoliło mi na wydostanie się, ale tu już była psychiczna próba siły. Chciałam się czuć ważniejsza od nich. Gorzej było tym ostatnim razem. Jeszcze miałam po drodze spotkanie z nimi na Widok pod [numerem] 8, gdzie Niemcy

2/1/8

się dostali, do budynku, a myśmy wiedzieli, że to jest nasz obszar. Tam żeśmy się rzeczywiście ganieli po piętrach z Niemcami. Mam takie wspomnienie: znalazłam na podłodze bagnet Hitlerjugend. To była moja zdobycz, którą zresztą ostatecznie i tak musiałam później oddać, podczas kapitulacji. W każdym razie to spotkanie zapamiętałam jako nie groźną dla mnie bieżaninę po piętrach, wiedząc, że oni są na tym samym piętrze. Na pewno groźna dla mnie była konfrontacja z Niemcami, kiedy oni ujęli mnie po raz trzeci i kiedy rzeczywiście mieli nas w ręku, a myśmy byli wszyscy zupełnie bezradni.

Co pani zapamiętała z kontaktu z ludnością cywilną?

Z bardzo dużym wzruszeniem myślę o ludności cywilnej. Przez cały czas Powstania. Na początku, póki jeszcze stały domy, w każdej bramie, przechodząc wzdłuż domów w południe, można było wejść, bo wszędzie stał kocioł z zupą. Rzeczywiście ludność cywilna niesamowicie nam pomagała. Wszystkie przekucia piwniczne dawały nam priorytet przejścia. Ustępowali nam, byli serdeczni, oddawali wszystko, co mieli. Rzeczywiście niewiele mieli, coraz mniej. Później zaczęły się niedostatki. Zaczęło się palenie Warszawy i ludność cywilna w uczuciach do nas się skurczyła. Zanotowałam sobie tutaj relację: „Na początku Powstania ludność cywilna była dla nas opiekuńcza. Była serdeczna, szczodra, radosna. W miarę, jak owało jedzenia i malała ilość ocalałych domów, malała serdeczność ludności cywilnej do nas. Już nie chcieli nas przepuszczać piwnicami. Urągali, czyniąc nas odpowiedzialnymi za spalenie Warszawy. Mam przykre wspomnienia z końcowego okresu, przed podpisaniem kapitulacji. Zresztą sam akt kapitulacji nie był dla nas – powstańców żadną ulgą. Przeciwnie. Chcieliśmy walczyć dalej i trudno nam było pogodzić się z tym, że nasza dwumiesięczna walka okazała się daremna. Znam nawet wypadek samobójstwa porucznika, który z kapitulacją się nie pogodził. To był nasz wielki dramat. Z Powstania wychodziłam jako jedna z ostatnich. Ze Śródmieścia, 5 października, wzdłuż ulicy Jasnej formowała się jedna wielka kolumna powstańców, których czekał przemarsz przez spaloną Warszawę, gdzie wśród gruzów przebywała ludność cywilna. Z wielkim niepokojem myśleliśmy o tej konfrontacji. Oto idą ci, co spalili Warszawę! Może będą rzucać w nas cegłami? Może wykrzyczą nam swój ból? Najpierw kolumna ruszyła ulicą Żółtą. Na najwyższym punkcie domu kina „Palladium” stał ksiądz, błogosławił powstańców idących do niewoli. Kolumna się wyprężyła, uporządkowała, poczuła mocniejsza. Wzdłuż ulicy Żółtej stał szpaler złożony z ludności cywilnej. Stoją po obu stronach prawie tłumnie. Stoją i żegnają polskich żołnierzy,

7/1/19

którzy przecież oddali wszystko dla Polski. I oni – ludność cywilna – to wiedziała. Żegnali nas pełni modlitwy, wzruszających okrzyków, podziękowań za naszą postawę. Oni płakali, a myśmy szli najpiękniejszą defiladą, jaka mogła się żołnierzowi zdarzyć. Szliśmy wyprostowani, zdyscyplinowani i pełni wzruszenia. I tak ludność Warszawy odprowadziła nas prawie do miejsca, gdzie składaliśmy broń, w domu akademickim przy Placu Narutowicza. Wchodziliśmy na podwórze poszczególnymi oddziałami i każdy osobno występował z szeregu i rzucał na stos to nasze żelastwo, które przez dwa miesiące pozwoliło nam żyć w wolnej Warszawie. To była wielka, niezapomniana gorycz. To był moment odebrania nam ducha walki. Dobrze, że ludność cywilna tego już nie widziała. Wychodząc z podwórza domu akademickiego, już nie byliśmy żołnierzami, byliśmy długim pochodem snujących się zjaw, skazanych na wszystko, co zgotował nam wróg”.

Czy miała pani kontakt z przedstawicielami innych narodowości, jakimiś obcokrajowcami na terenie Warszawy?

Nie. Ale mogę coś opowiedzieć. Nie tyle narodowości, co innych opcji politycznych. Otóż moja szwagierka spotkała na Starym Mieście, na Podwalu, swoją koleżankę z podwórka i wołała do niej: „Basiu! Basiu!”. Moja szwagierka była z opaską Armii Krajowej, a tamta nerwowo wciągnęła ją do bramy i powiedziała: „Chodź, chodź, bo mnie nie wolno jest rozmawiać z akowcami”. A sama była z AL. To był bardzo ciekawy, wiele mówiący incydent.

Jak wyglądało pani życie codzienne podczas Powstania? Jak było z ubraniem, z noclegami?

Bardzo niewiele pamiętam. Nie umiem nic powiedzieć. Mogę przysiąc, że nikt nie pił alkoholu, nikt nie jadł normalnego obiadu. Teraz się dowiaduję, że bywało inaczej. Jadałam zupy „plujki” i czasami wpadałam do moich znajomych w piwnicy w Alejach Jerozolimskich, oni mi ugotowali coś z zapasów: jakąś kaszę gryczaną czy jaglaną, czy mannę, nie mam pojęcia. Gdzieś na Brackiej było coś w rodzaju kuchni, gdzie można było przyjść i czasami coś zjeść. Później już nie wiem, nic nie pamiętam. Nawet nie umiem powiedzieć, w jakich warunkach spałam. Nic mi z tego nie zostało. Nie pamiętam na przykład pomieszczenia toalety. Nie mam pojęcia, dlaczego. Są fragmenty mojego życia z tych dwóch miesięcy, które w ogóle mi uciekły, nie zostały zarejestrowane. Po prostu nie umiem powiedzieć. Na pewno nie sypiało się w łóżkach, najczęściej na podłodze albo na krzesłach. Tego jestem pewna, bo

1/10

to akurat pamiętam. Natomiast czy ja się w ogóle rozbierałam? Chyba nie, piżamy nie miałam. Myłam prawdopodobnie czubek nosa, a nie od pasa i do pasa. Zresztą wody bardzo owało. Po wodę żeśmy chodzili gdzieś do centralnej studni na Chmielnej czy gdzieś. Nie umiem powiedzieć, jak to wyglądało. Było bardzo nieregularnie i pewnie nie bardzo higienicznie.

Jak wyglądała atmosfera w pani oddziale, wśród znajomych?

To nie można nazwać znajomymi. To byli harcerze tacy jak ja, „Zawiszacy”, którzy byli prowadzeni przez druha „Kuropatwę”, Przemysława Góreckiego. Cudowny, nadzwyczajny człowiek. I on, dokąd jeszcze „Prudential” jako tako stał, on nam w podziemiach „Prudentialu” urządzał wieczorne kominki. Tam żeśmy śpiewali wieczorami, dokąd jeszcze się dało. Ten śpiew to rzecz bardzo ważna! Młodzieży teraz to mówię, jak bardzo ważne jest wspólne śpiewanie. Nigdy tego nie zapomnę. „Kuropatwa” nas bardzo rozśpiewywał, on nam w tym śpiewie wzmacniał jedność. Kiedyś o czwartej nad ranem przed „Prudentialem” stanęłam razem z oddziałem idącym do pierwszej linii. Oni śpiewali jakąś modlitwę, a ja razem z nimi. Siły tego śpiewu, tego drżenia, tych skrzydeł rozwijanych, któreśmy czuli wszyscy w sobie, nie zapomnę do końca życia. Dlatego wiem jedno, że wspólne śpiewanie jest taką ogromną siłą, której nikt z młodzieży nie docenia! Szkoda, myśmy tego doświadczyli i mogę to potwierdzić.

Jak wyglądały stosunki wśród harcerzy tego oddziału?

Taki problem w ogóle nie istniał, poza tym, że od czasu do czasu przychodziliśmy z informacją, że na przykład Zenka zginęła, jak przebiegała przez Aleje, czy ktoś pod Towarową. Albo była radość, bo zdobyty czołg z Nowego Świata przyciągnęli na podwórze Poczty Głównej, bo nasza baza była długi czas w Poczcie Głównej. Inne formy współżycia w ogóle nie wchodziły w rachubę. Było naprawdę poczucie ogromnej harcerskiej solidarności i w ogóle nie mieściło się w tych kategoriach nic negatywnego.

Nosiła pani pocztę, była pani kolporterką poczty, więc siłą rzeczy musiała pani trochę relacji czytać. Jak zapamiętała pani prasę i doniesienia radiowe?

Gdy do nas dotarł „Biuletyn Informacyjny”, bo ten był najpopularniejszy, od razu siedziało cztery, pięć osób, jeden czytał, wszyscy komentowali równocześnie. To nie to, że ktoś sobie w kącie pojedynczo czytał. Nie, myśmy zbiorowo czytali. Czy dyskutowali państwo? Nie. Myśmy mieli, piętnaście, siedemnaście lat, to jakoś się

11/11

wtedy jeszcze do dyskusji nikt nie brał, nie w tym wieku. Nie słyszałam żadnej dyskusji wokół siebie. Myśmy wiedzieli, że mamy bić Niemców i to nas tylko interesowało.

Jakie było pani najgorsze wspomnienie z Powstania?

Tak naprawdę, obliczyłam pięć razy, kiedy nie miało prawa mnie być. Szłam wzdłuż Świętokrzyskiej przekraczając Mazowiecką, a od tak zwanego *Arbeitsamtu* Niemcy rzucili granaty. Za mną szły dwie sanitariuszki. Granat wybuchł metr, może pół metra przede mną i znalazłam się pod parasolem odłamków. Poza tym, że byłam głucha przez dwa tygodnie, nic mi się nie stało. Obejrzałam się za siebie, a one obie były w kawałeczkach. Następny przypadek: Strasznie chciałam iść kanałami na Stare Miasto. Druhowi „Orszy” mówiłam to sto razy. Słyszę, że przyszedł łącznik, że potrzebny jest ktoś od nas do przejścia na Stare Miasto. Mówię: „Ja! Ja! Ja!”. On tak na mnie popatrzył z góry na dół i powiedział: „Dobrze, jak znajdziesz porządne buty i sweter, to pójdziesz”. Biegałam po wszystkich i szukałam butów i swetra. Buty znalazłam, swetra nie znalazłam. Przybiegam do druha „Orszy” i mówię: „Buty już mam! Swetra jeszcze nie mam, ale buty już mam!”. A druh „Orsza” mówi do mnie: „Już za późno, poszła Jadzia”. I Jadzia z kanałów nigdy nie wyszła. Teraz następny: Miałam punkt obserwacyjny na „Prudentialu”. Kwaterowałam na Szpitalnej pod 5. Od siódmej rano miałam przejąć dyżur. Stałam na balkonie i splatałam warkocze. Przed siódmą na kwaterę przybiega łącznik i mówi: „Hanka ma zmianę dyżuru nie od siódmej tylko od ósmej”. Dalej sobie stoję na balkonie, już jest piętnaście po siódmej i dalej plotę warkocze. Patrzę na mój „Prudential”, w który właśnie uderzyło działo kolejowe! Cała stalowa góra „Prudentialu” zwinięta w kłębek, łącznie z tym, który miał przedłużony dyżur do ósmej. Bardzo dobrze pamiętam te wszystkie przypadki i doszłam do wniosku, że Pan Bóg kazał mi żyć i to do czegoś zobowiązuje. Dlatego teraz całą swoją pracę oddaję młodzieży. Chodzę po szkołach, opowiadam. Mamy pod opieką sporo szkół poza Warszawą. Mówię w liczbie mnogiej, bo mój mąż mi w tym bardzo pomaga. Myślę, że takie są następstwa tego, że przeżyłam

Powstanie.

Może pani opowie o jakimś zabawnym zdarzeniu, które pani zapamiętała z Powstania?

Mogę opowiedzieć tylko o znajomych moich rodziców. To starsze panie, trzy kobiety, które całe Powstanie przesiedziały w oficynie domu w Alejach Jerozolimskich w piwnicy. Przychodziłam do nich od czasu do czasu, choćby dlatego, że były to znajome moich rodziców i, że miały oczywiście zapasy i czasem mi ugotowały ryżu czy manny. Ale one

Thh2

kiedyś zwróciły się do mnie, dając mi dwa złote i osiemdziesiąt groszy, żebym kupiła pożywienie dla rybek w sklepie ZOO na Brackiej pod numerem siódmym. Nie uwierzyły mi, jak tłumaczyłam, że nie ma tego sklepu, nie ma tego domu. „Jak to jest możliwe? To jest przecież pożywienie dla zwierzątek, więc musi być”. Wydaje mi się, że jest to najśmieszniejsza rzecz, jaka mnie w Powstaniu spotkała.

Proszę powiedzieć, jak później to wyglądało, po wyjściu z Placu Narutowicza, po złożeniu broni?

Kiedy odebrano nam ducha, poczułam, że jestem strasznie śpiąca. Prowadzono nas do Ożarowa, oczywiście pieszo. Trzymałam się pod rękę jakichś dwóch osób i spałam kawał drogi. To przespałam na pewno. Nagle coś mnie obudziło. Ludzie na wsi, między Warszawą a Ożarowem, gotowali nam jedzenie. W pewnym momencie ktoś mnie parzy kubeczkim w rękę, a to kubeczek z gorącą zupą. [...] Aluminiowy kubeczek, gorący jak piorun, sparzył mnie, obudził, ale ktoś mi kazał zjeść gorącej zupy. To bardzo wzruszające. W Ożarowie chyba przez trzy dni kwaterowaliśmy pod gołym niebem. Dostaliśmy jakiś żołąd. Ile tego było, nie wiem. Teraz się domyślam, że musiało być chyba tysiąc dwieście złotych. Pamiętam, że połowę z tego oddałam przez kraty na zewnątrz komuś za kawałek kiełbasy, a drugą część schowałam i mam do dzisiaj: sześćset złotych, pięćset i sto. To był mój żołąd. Po trzech dniach zakwaterowali nas w wagonach towarowych, zaplombowali i wieźli. Tam dopiero dorwały mnie wszy. Okazało się, że leżałam głowa w głowę z dziewczyną, która miała wszawicę. Czułam jakiś smród, ale nie wiedziałam, co się dzieje. Potem dalej nie wiedziałam, że to mnie też już oblaźło. Natomiast dziewczyny się zorientowały. Wszystkie odsunęły się od niej ile było możliwe. Tą bidulkę posadziły na środku. Ktoś miał nożyczki, któraś obcinała jej włosy. Ona była strasznie biedna, ale na mojej głowie te wszy zostały. Później w obozie sobie z nimi jakoś poradziłam, tak, że dosyć szybko je zlikwidowałam. W Fallingbostel (Stalag XI B), w pierwszym obozie, jeszcze byłam zawszona. Tam dostałam numerkę jeńca wojennego, dwie czternastki osiemdziesiąt jeden – 141481, tego nie zapomnę do końca życia. To była moja legitymacja zamiast nazwiska. Z tym numerem nas fotografowali jak zwykłych przestępców. Chciałabym kiedyś znaleźć takie zdjęcie, ono chyba powinno się znajdować w archiwach niemieckich.

Potem stamtąd nas wywieźli do Bergen-Belsen. To był wydzielony barak w obozie koncentracyjnym. Wtedy się zorientowałam, że mój ukochany opiekun harcowski, druh

I/4/13

„Kuropatwa” siedzi w sąsiednim baraku. Też odrutowany, ponieważ to były już warunki obozu koncentracyjnego, więc oni drutowali każdy barak osobno, a poza tym, między tym był jeszcze korytarz, którym chodził Wachman. Listopadowego popołudnia nasza komendantka zwołała w trybie alarmowym zbiórkę i drżącym głosem, na wpół płacząc mówi, że Niemcy kazali jej wyznaczyć osiemdziesiąt dziewcząt na wywózkę, ale ona nie ma pojęcia, gdzie i co te dziewczęta spotka, w związku z tym ona nie wyznaczy, poprosiła żebyśmy jej pomogły. Wystąpiłam jako szósta. I w ten sposób, chyba osiemdziesiąt z nas pojechało do Hannoveru, do roboty na torach kolejowych. Byłam tam najmniejsza. [...] Miałyśmy szynele, z tyłu namalowane farbą olejną KGF, *Kriegsgefangen*. Ale wolno nam było nosić opaski powstańcze, więc żeśmy na tym szynelu nosiły opaski. Niemcy nas widzieli. Myśmy chodziły kolumną na tory kolejowe z kilofami. Przyznam, że mnie tam spotkało, aż trudno powiedzieć, ale jednak coś wzruszającego. Ponieważ odróżniałam się jako najmniejsza z nich wszystkich, zdarzyło mi się raz, kiedy jeden z Niemców, widocznie robotnik idąc do pracy mnie szarpnął, żebym zatrzymała się na chwilę. Z torby wyjął swoje śniadanie i mi dał. Taki ludzki odruch. Po miesiącu chyba, czy po półtora, z Hannoveru nas zabrali z powrotem do Bergen-Belsen. Byłam w drewniakach. Wtedy już padał śnieg z deszczem i mnie się do tych drewniaków przyklejały kule śniegu. Nie mogłam iść. Niemiec mnie uderzył. Myślę sobie: „No nie, bić się z nim nie będę, bo to się nie da”. Więc te drewniaki wzięłam pod pachę i w skarpetkach te dwanaście czy ileś kilometrów doszłam do obozu. Druh „Kuropatwa” usłyszał przez druty głos, który się ze mnie wydobywał, byłam już okrutnie schorowana i zaczął mnie leczyć, ponieważ był medykiem, zaczynał w konspiracji studia medyczne. Zdobył gdzieś lekarstwa i rzucał mi je zawinięte w gazetę przez wszystkie druty, swoje i moje i za plecami Wachmana. W ten sposób mnie leczył. Bardzo to pamiętam. Pod koniec grudnia wywieźli nas do Oberlangen. Okazało się, że wszystkie dziewczyny z Powstania się spotkały na początku stycznia. Do dwunastego kwietnia było już wyzwalenie obozu.

Ten moment jest dla mnie osobiście bardzo ważny. Rano już nie było apelu, Niemców na wieżyczkach już nie było widać. Słyszeć było tylko dudnienie. Między barakami ustawionymi w dwóch rzędach, gdzie przez środek biegł wielki dziedziniec, codziennie odbywały się apele. Patrząc, między tymi barakami widać brunatny, falujący horyzont i tak

T 1/14

sobie myślę: „To pewnie Anglicy nacierają, będą nas wyzwalać”. Ale jeszcze ten horyzont dudniący był strasznie daleko. Wszystkie dziewczyny się pochowały. Byłam samiuteńka na środku dziedzińca, a z prawej strony miałam bramę, którą się otwierało na jakieś szczególne okoliczności. Stoję i patrzę, i myślę sobie: „Do tych Anglików jeszcze daleko”. W pewnym momencie słyszę straszny huk z prawej strony. Oglądam się, wjeżdża czołg, rozwala bramę i staje. Z czołgu żołnierz wyskakuje. Wyjmuje z kabury pistolet i na wiwat strzela w górę. Zaczynam do niego mówić po angielsku, bo w czasie okupacji zaczęłam się uczyć angielskiego u Szachtmajerowej. Tymczasem żołnierz woła: „Dziewczyno, my Polacy!”. W tym czołgu jechał dowódca pułku, pułkownik Koszucki, który napisał później wspomnienia: „Wjeżdżam do obozu pierwszym czołgiem, a naprzeciwko stoi mała dziewczynka w szynelu do ziemi i do mojego żołnierza zwraca się po angielsku”. To jest opowieść, która się tylko mnie przydarzyła, dlatego ją sobie bardzo cenię.

Co później działo się z panią po wyzwoleniu? Jakie dochodziły do pani głosy z Polski? Jak wyglądała atmosfera w oddziałach?

Zbliżamy się do bardzo ważnego końca. Wyzwolono nas 12 kwietnia... Nawiasem mówiąc, po powrocie do Polski dowiedziałam się, że to był dokładnie ten sam dzień, ten sam miesiąc i ten sam rok, kiedy mojego ojca dobito w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu. Zawsze uważam, że to była cena za moją wolność. Zważywszy, że mój ojciec był, jest i będzie moim przewodnikiem duchowym i nauczycielem. Jego śmierć jest dla mnie największą i najtragiczniejszą stratą. Tak sobie zapisałam w pamiętniku: „26 kwietnia 1945 roku, Oberlangen. Wiadomości o Polskiej sytuacji politycznej są wprost tragiczne. Rząd angielski nie uznaje naszego rządu w Londynie i honoruje linię Curzona. Znosi się na następny rozbiór Polski, chyba, że Anglia wypowie wojnę Rosji. Tymczasem Stalin trzyma w obozach koncentracyjnych naszych ludzi z Armii Krajowej, którzy pozostali w kraju. Podobno niektórych wciela do armii Berlinga. W tej sytuacji, dla nas nie ma drogi powrotu do Polski. Zostajemy skazani na tułaczkę. 5 maja 1945 roku. Wczoraj dowiedzieliśmy się o kapitulacji Niemców. Wobec tego czekamy: albo wojna z bolszewikami i znów przyjdzie nam bić się o Polskę, albo wojny nie będzie i wtedy rozbiór Polski jest nieuchronny. Ciągłe piszą w gazetach, że w Polsce zabijają akowców. Mimo to, albo może właśnie dlatego kielkuje mi myśl powrotu do Polski, do partyzantki. Jakoś trzeba tę Polskę ratować. A jak nie do walki, to choć do nauki. To Polsce

IHW15

też będzie kiedyś potrzebne.

12 czerwca 1945 roku. Piszą gazety, że w Londynie odbywa się konferencja między rządem londyńskim, lubelskim i moskiewskim w sprawie polskiej (o Boże, a po co ci Moskale?). Po długich wahaniach zdecydowałam wracać, choć wiem, że w Polsce muszę być gotowa na wszystko... Sybir, rozstrzelanie...".

Wnioski ostateczne napisałam takie: „Nie było więc miejsca ani na radość, ani na nadzieję, ani nawet na wahania. Nie było to też myśleniem proroczym ani wydedukowanym, bowiem szesnastoletnia dziewczyna może tylko przeczytać gazetę, z której ta dramatyczna przyszłość Polski jasno się rysowała. Dlatego nie mogę dać wiary tym relacjom, które mówią, że 8 maja 1945 wydał się być dla Polski wyzwoleniem? Tu się uczciwemu Polakowi nie mogło nic wydawać. To był pierwszy dzień nowej okupacji”.

W jaki sposób pani wróciła do kraju i kiedy to się stało?

Wróciłam w 1946 roku, też w kwietniu. Jakoś ten kwiecień jest szczególny... Przedtem nie wiedziałam, czy mam po co wracać: oboje rodzice w obozach koncentracyjnych, brat w partyzantce, więc na dobrą sprawę... Wiem, że dom był zrównany z ziemią, to wydawało mi się, że nie mam po co wracać. Jeden z moich kolegów wrócił do Polski, do Warszawy i okazało się, że gdzieś na Politechnice trafił na mojego brata. W ten sposób dowiedziałam się, że mam jeszcze mamę i brata. Matka jeszcze zdołała wrócić z obozu koncentracyjnego Ravensbrück. Żyła jeszcze kilka lat. Straszliwie żeśmy się tułali. Nie mieliśmy dachu nad głową. Potwornie! To się nie da opowiedzieć. Ja wtedy w jednej szkole robiłam maturę, w drugiej pracowałam jako goniec. Ponadto uczyłam się w szkole muzycznej. W tym czasie także grałam w AZS. Po powrocie z mojej grupy akowskiej ja jedna nie byłam aresztowana przez UB. Chyba tylko dlatego, że gdyby mnie chcieli inwigilować, to po prostu nie znaleźliby miejsca na coś, za co chcieliby mnie ukarać. Natomiast mieszkać zupełnie nie mieliśmy gdzie. Czasem dostawałam listy polecające do kogoś obcego, gdzie mogę przemocować, bo ich córka na miesiąc gdzieś wyjechała. Jak się przygotowywałam do egzaminu, korzystałam z biletu miesięcznego. Wsiadałam w tramwaj i jeździłam tak długo, aż się nauczyłam. To jest nie do opowiedzenia, jak straszne warunki stworzyła nam PRL do egzystencji i do nauki. Wszystko to sprowadzało się przede wszystkim do zniszczenia nas. Mój ojciec, który był Naczelnikiem Wydziału Wojskowego Komisariatu Rządu, czyli człowiekiem, którego komuniści bardzo chcieli zamordować własnymi rękami. Jeszcze do

IWA

tego był z ramienia Delegatury Rządu nominowany na wojewodę Kwidzyna w Prusach Wschodnich. Wszystko to razem powodowało, że Szczepanowskiego chcieli koniecznie dorwać. Moją matkę wzywali do UB przez kilka lat. Bez przerwy od początku zadawali pytania: „Gdzie jest wasz mąż?”. Moja mama była ostra. Zadawano pytania idiotyczne: „Kto u was był przed wojną? O czym się u was rozmawiało?”. Moja matula mówiła: „A czy ja to pamiętam?”. „No to krótką macie pamięć”. A moja mama do ubeka mówi: „Ale pan ma jeszcze krótszą, bo mi pan siedemnasty raz zadaje to samo pytanie, gdzie jest mój mąż. A ja już panu dawno powiedziałam, że nie żyje”. Kłóciła się z nim zęb za zęb. Zakończyło się tym, że gdy w 1948 roku zdawałam na Politechnikę, znalazłam się na liście tych, którzy zdali, a nie są przyjęci. A ponieważ było jeszcze trzech profesorów, którzy znali mojego ojca, poszłam do jednego z nich i zapytałam się: „Czy mogłabym się dowiedzieć, jakie mam stopnie?”. I on mi powiedział: „Pięć, cztery plus, cztery i pół i cztery”. Wtedy powiedziałam: „To w takim razie będę studentem!”. Nikomu nie mówiąc, „na waleta” chodziłam przez pół roku, na wykłady, na wszystkie ćwiczenia, pisałam wszystkie kolokwia. Gdy był egzamin, kupowałam blankiet egzaminacyjny. Wchodziłam na egzamin, profesor mówił: „Proszę o indeks”, a ja zawsze udawałam, że zapomniałam, ale mam blankiet. Po pół roku poszłam do dziekana i mu powiedziałam wszystko od początku, jak to było. I nie było żadnej dyskusji. Dał mi własne pióro, arkusz papieru, podyktował jakieś podanie i za trzy dni byłam właścicielką indeksu. Ja temu dziekanowi nie zapomnę, on mnie po prostu uratował przed pozbawieniem mnie zawodowego rozwoju. Potem przez studia przesłam gładko, tylko tyle, że prędko przyjął nakaz pracy, żeby dostać gdziekolwiek mieszkanie, bo w dalszym ciągu nie miałam gdzie mieszkać. A i tak jakaś „pezetperowa” mi powiedziała, że Polska Ludowa pomogła mi skończyć studia, to powinnam się odwdziżyć i zapisać do partii. Powiedziałam, że nie mam na to czasu, ani możliwości. A ona mi mówi, że nie wszystkim proponują i ja szczególnie zasłużyłam na zaproszenie. Pytam się: „To czym ja zasłużyłam? Czy tym, że byłam w Armii Krajowej?” Teraz to brzmi dziwnie, ale wtedy wielu z nas się do tego nie przyznawał. Ale jednak na prawdzie zawsze dobrze wychodzę, więc gdy się osiem stron kancelaryjnego papieru wypisywało tych szczegółów o sobie, napisałam, że byłam w Armii Krajowej i się tego nie bałam. Mówię: „Chyba tylko tym, że byłam w Armii Krajowej to u pani zasłużyłam?”. A ona mi mówi: „To nieprawda”. Mówię: „Proszę pani, ja nie kłamię. Niech pani sobie przeczyta,

I/1/17

co pani trzyma w ręce, moje *curriculum vitae*, to się pani dowie”. Ona zadzwoniła do jakiegoś: „Towarzyszu Przypsztyk, czy były żołnierz tak zwanej Armii Krajowej...?”. Po czym położyła słuchawkę i mówi: „To już niech pani oddaje tę deklarację”. Miałam spokój już do końca. W tym momencie skończyły się moje kłopoty z PRL-em. Potem już robiłam, co chciałam.

Czy chciałaby się pani podzielić jakąś refleksją na temat Powstania?

Tak. Oczywiście. Nigdy nie pozwolę powiedzieć, że to było niesłuszne. Zawsze tłumaczę młodzieży, że to było konieczne z wielu powodów. Po pierwsze, byliśmy i tak skazani na wywózkę na Syberię, jak się stało z akowcami w Wilnie. Po drugie, byliśmy tak bardzo zmobilizowani, że nie mogło nie wybuchnąć, a gdyby wybuchło niekontrolowane, mogłoby być dużo gorzej. A po trzecie, jednak zatrzymaliśmy tę nawałnicę. A po czwarte w końcu Powstanie miało taką nośność, że mimo, że byliśmy już co prawda sprzedani, ale mimo wszystko jakieś rozmowy w sprawie Polski dawały tę rękojmię, ten argument, że my jesteśmy narodem, z którym się trzeba liczyć. Dlatego uważam, że Powstanie musiało wybuchnąć, niezależnie od tragedii, którą się zakończyło. Tak mi się wydaje!

Warszawa, 1 czerwca 2005 roku

Rozmowę prowadził Maciej Piasecki

I/2 Dokumenty

- Zaświadczenie o służbie w AK [Nr 3687], 1944r., kopia, ups, rkps, k-1.s.1
- Przepisówka H. Szczepanowskiej - żołnierza AK, przysiał: Porzta polowa, 1944r., kopia, ups, rkps, k-1.s.2



3/2/1

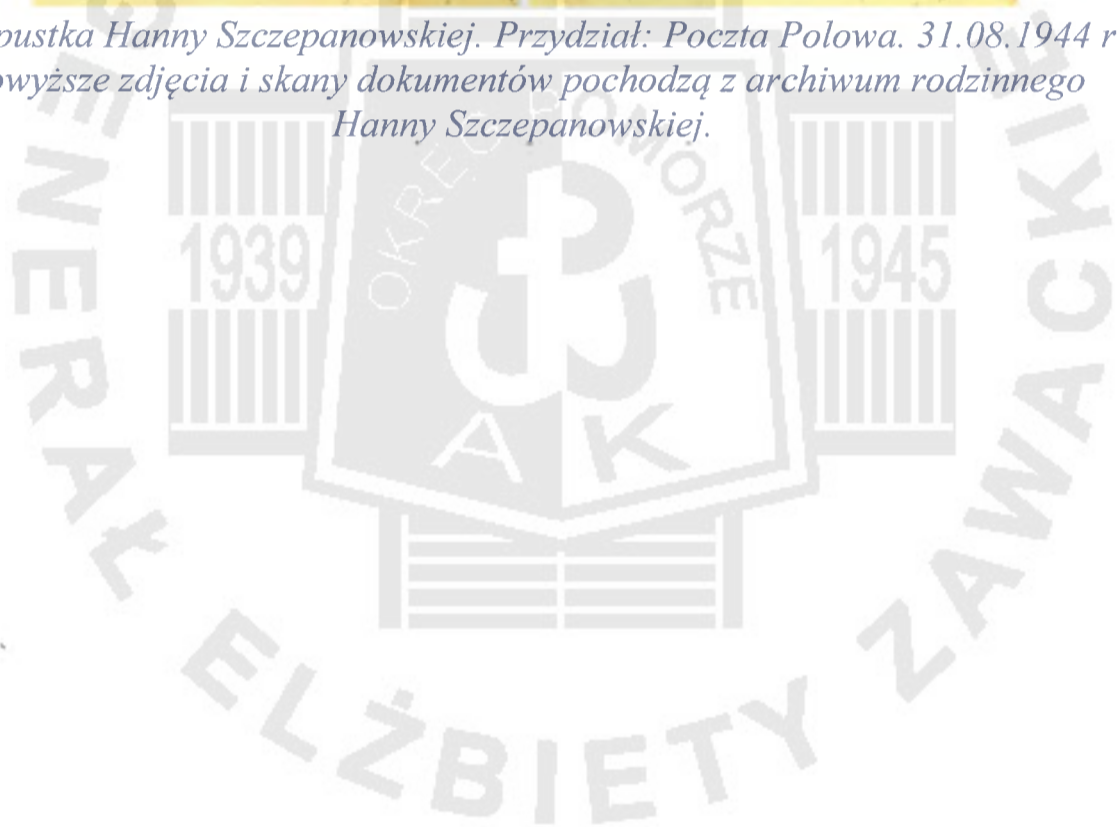


Legitymacja Armii Krajowej nr 3687 należąca do Łączniczki "Heban" Hanny Szczepanowskiej.

I/2/2



Przepustka Hanny Szczepanowskiej. Przydział: Poczta Polowa. 31.08.1944 r.
Powyższe zdjęcia i skany dokumentów pochodzą z archiwum rodzinnego
Hanny Szczepanowskiej.



II Materiały uzupełniające relację

- Notka biograficzna [w:] Bohaterowie naszej walki. Zamek Królewski w Warszawie 11-30 listopada 2000. Wystawa pod patronatem MK i DN, s. 30, mps, kopia, k. 1. s. 1



II/1

Hanna Szczepanowska

Architekt. Urodzona w 1929 roku. Ojciec – żołnierz I Kompanii Kadrowej w 1914 roku – w czasie wojny zostaje mianowany wojewodą Prus Wschodnich z ramienia delegatury rządu (zamordowany w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu); matka prowadzi punkt kolportażu podziemnej prasy (wzięta w Ravensbrück). W czasie okupacji w 1941 roku zaczyna działalność w „Szarych Szeregach”, bierze czynny udział w akcjach małego sabotażu. W 1943 roku trafia do młodzieżowego wywiadu. Dzięki pomocy brata, podchorążego AK, przechodzi do oddziałów liniowych i zostaje łącznikiem w 244. plutonie na Żoliborzu.

Łączniczka w Powstaniu Warszawskim. Członek Zawiszaków i Harcerskiej Poczty Polowej. Po upadku powstania przewieziona do stalagu XIB w Fallingbommel, a następnie do obozu w Bergen-Belsen. Wywieziona do Hanoweru do pracy na torach kolejowych w pobliżu fabryki czołgów Hanomag, skąd zostaje przewieziona do obozu na granicy niemiecko-holenderskiej w Oberlangen. W kwietniu 1946 roku wraca do Warszawy.

Jest członkiem-założycielem Stowarzyszenia Szarych Szeregów i komendantem hufca Krag „Prochownia”.



19 Po Powstaniu wychodziłam jako jedna z ostatnich ze Śródmieścia, 5 października. Wzdłuż ulicy Jasnej formowała się wielka kolumna powstańców, których czekał przemarsz przez spaloną Warszawę, gdzie wśród gruzów przebywała ludność cywilna. Część z nich myślała o nas: «Ci, co spalili Warszawę». Może teraz wykrzyczą nam swój ból? Najpierw kolumna ruszyła ulicą Złotą. Gdzieś na wysokości kina «Palladium» ksiądz błogosławił powstańców idących do niewoli. Kolumna się wyprężyła i porządkowała... Wzdłuż ulicy Złotej stał szpaler złożony z ludności cywilnej. Stoją po obu stronach i żegnają polskich żołnierzy, którzy przecież oddali wszystko dla Polski, żegnali nas pełni modlitwy, wzruszenia, okrzyków, dziękowali za naszą postawę. Oni płakali, a myśmy szli. Najpiękniejszą defiladą jaka mogła się żołnierzowi zdarzyć. Szliśmy wyprostowani i pełni wzruszenia...

I tak doszliśmy prawie do miejsca, gdzie składaliśmy broń, w domu akademickim. Szliśmy poszczególnymi oddziałami. Każdy osobno występował z szeregu i rzucał to nasze żelastwo, które przez dwa miesiące pozwoliło nam żyć w wolnej Warszawie. To była wielka, niezapomniana gorycz, to był moment odebrania nam ducha walki. Dobrze, że ludność Warszawy tego już nie widziała. Wychodząc z podwórza domu akademickiego, już nie byliśmy żołnierzami. Byliśmy długim pochodem skazanych na wszystko, co zgotował nam wróg”.

a

T.

Szare Szewgi
AK
W-wł
obóz
Bergen-Belsen

SSCZEPANOWSKA Hanna
ps „Hebau” „Elżbieta”



i

T.

Szczepanowska Hanna
ps. „Heban”, „Elżbieta”

Szawe Szewgi
AK
W-wq
oladz
Bergen-Belsen



VI Fotografie

- konspiracyjny oboz Marcowski, Skowzecz 1943r., kopia, k.1, s.1
- H. Szczepanowska, Meppen 1946r., kopia, k.1, s.2
- H. Szczepanowska, W-wa 2000r., kopia, k.1, s.3



VI/1



Konspiracyjny obóz harcerski - Skórzec 1943 rok. Od lewej Maryla Szydłowska, Hanna Szczepanowska i Izabela Zatorska.



VI/2



Hanna Szczepanowska - Meppen, 4.02.1946 r.

VI/3



SZCZEPANOWSKA Hanna

